

Wychodzą we *Wio-
rek, Czwartek i Sobo-
te*. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
cztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wierszu pis-
mem petyt w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp, po 1 1/2 kr. i za do-
płatę 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji wksię-
garni H. W. Kallenbacha.

SKROMNE NADZIEJE.

Powieść odporna.

Najprzód prosiłbym ciebie, redaktorze, abyś ra-
czył w umieszczonej poniżej nocie wytłumaczyć publicz-
ności, co to jest „powieść odporna,” bo takiego rodzaju po-
wieści nie uczono nas w szkole. Ale wiadomo mnie z
doświadczenia, że autorowie częstokroć do swoich pism
dodawają noty i uwagi z cyfrą redakcyi, a że nie ufając
zbyt twoim wiadomościom, sam w podobnym znajduwałbym
się przypadku, otóż wolę porządnym sposobem dać wyja-
śnienie, i je w samej powieści umieścić.

Powieść moja odporna jest to krytyka obrazowa zamie-
szczonej niedawno w Nowinach powieści pod nazwą: „Wielkie
nadzieje”. Używam tego rodzaju krytyki na to, aby publi-
czność choć jedną krytykę przeczytać chciała, potem, że
oryentalny sposób objawienia swego zdania w obrazku jest
bardzo praktyczny, a nakoniec, że dzisiaj to wszystko nas
zajmuje, co tylko w niejkiej z orientem jest styczności.

Otóż pan J. Dz. odmalował nam obrazek, w którym
„wielkie nadzieje“ zeszyły niżej zera, i jak się zdaje, chce
winę tege rzucić na nieodpowiedzialne społeczeństwo. Naj-
przód samo pospolite przysłowie: „z wielkiej chmury ma-
ły deszcz“ powinno było autorowi jasno wykazać, że o-
brobiony przez niego temat, jest to jak świat stary pewnik
społeczny, a do tego najstaranniej w naszym społeczeń-
stwie pielęgnowany. Zresztą jakie takie wiadomości z
historyi naturalnej, powinny były autora nauczyć, że im
więcej drzewo wydaje kwiatu, im gęściej porosną na niem
liście, tem mniej owocu można się z niego spodziewać.
Ale pan J. Dz. lubi zawsze wyszukiwać uznane w naszym
społeczeństwie pewniki, i chce nas koniecznie przekonać,
że tak być nie powinno. Daremne usiłowanie. Znałem żoł-
nierza, który pod tak fatalną konstelacją rozpoczął był
swój zawód, że żaden dzień jego służby nie obeszczęł się
bez plag sowitych. Owoż na szczęście jego poczęto my-
śleć o uchyleniu kary cielesnej. Biedny żołnierz, dowie-
dziawszy się o tem, zapomniał w gębie języka i niemógł
sobie tego wytłumaczyć, jakim sposobem możnaby było
popęlnić krok tak nierozważny, jakim sposobem można
być żołnierzem i plag nie odbierać. A gdy po krótkiej
próbie znowu do starego systematu wrócono, żołnierz wsta-

jąc z ławki i podkrecając wasy, rzekł w tryumfie do swo-
ich kolegów: „Mówiłem wam, że bez tego obejść się nie można.“

Ale pan J. Dz. pozostanie zawsze w swoich powieściach
jednostronnym, a wyprowadzając swoich bohaterów, zabija
już najprzód ich przyszłość tem, że się każe im nudzić
pod strzechą lub na śmieciisku, a w duszę ich wlewa du-
mę, pretensye i „wielkie nadzieje.“ Otóż to jest ujemna
strona autora, a w takim razie głos jego pozostanie za-
wsze „głosem wołającego na puszczy,” a to z tej prostej
przyczyny, że w społeczeństwie naszym więcej jest takich
co są zdania odbierającego plagi żołnierza, i że plagi po-
dobne stały się dla naszego organizmu konieczną potrze-
bą. Od najdawniejszych dziejów naszych biją nas niepo-
spolicie, a chociaż częściej my sami bili, i to mospanie
bili nieszpętnie, wszakże w każdej bitce prawie, bi-
jąc drugich i samemu się zawsze po skórze dostanie. A
żeśmy się przez cały nasz rozwój dziejowy tylko bili i za-
lby wodzili, to z Tatarzynem, to z Swedem, to z Krzy-
żakiem, a czasem (odpuść panie) i pomiędzy sobą, a jak
to mówią „gdzie rąbią tam drzazgi padają” toż i my przy-
zwyczaili się do pewnej ilości cięgow, bo chociaż często
„złapało się Tatarzyna,” jednak czasem uczuło się „że
Tatarzyn za łeb trzyma.” Toż teraz, jakby w najpiękniej-
szem jakim bezkrólewiu wodzimy się między sobą, kłó-
cim się o fałszywą i urojoną zasadę i jej nasze nieszczę-
ścia przypisujemy.

Atoli nieszczęścia nasze społeczne nie są skutkiem tej
lub owej zasady, są to raczej nieszczęścia społecz-
stwa ludzkiego, a więc winy nie potrzeba szukać we
własnym kraju, ale w maszynie całej ludzkości.

Że zaś podobne „wielkie nadzieje“ serc podniosłych i
wyższych duchów w rynsztoku swe życie wypływają, nie
jest skutkiem choroby społecznej, ale choroby osobistej,
a która na tem zależy, że ów duch wyższy ma „wielkie
nadzieje“. Wszystkiego w społeczeństwie można dopiąć,
ale tylko przez skromność i przez nader „skromne na-
dzieje.“ To jest filozofia życia, której zastosowania w o-
brazku z uwagą posłuchajcie.

W piekarni proboszcza, w jednej z lepszych parafii
obwodu Złoczowskiego związał się mały chłopczyk o zielo-
nych kocich oczach a czerwonej grzywie nad czołem, i wy-
lizywał rondle z legumin, skrobał przepaliny pieczeni, a
to z wyłącznem, nieograniczonem prawem. Zkąd jednak

miał tyle łaski u czcigodnego parocha, trudno odgadnąć, sądzono jednak postronnie, że powinien być mieć więcej łaski, nad te drobne emolumenta. Bazylek jednak był wielce tą łaską zadowolonym, bo nigdy nie miał pretensyi sięgać swoim życzeniem wyżej nad to stanowisko, jakie zakreśliła mu jego społeczność kuchenna, i najdobrotliwszy dobrodziej. To też uczucie jego wdzięczności nie znało miary i wiedzy, a przy każdej sposobności starał się z niego w ten sposób wywiązać, że nakazaną sobie usługę wypełniał w dwójnasób, bez względu na skutki, jakie mogła mieć tak przesadzona aplikacja. I tak, gdy mu kazano jegomości w piecu zapalić, usłużny Bazylek zamiast jednej kłody, włożył w piec dwie, a jego zadowolenie doszło do najwyższego stopnia, gdy dobrodziej za to dał szturkańca, lub za ucho poszarpnął, co według Bazylka stanowiło samo przeziść wyszczególnienie nie popolite. Bo też przecie ręka jegomości poświęcana, a już wiele jest z jego strony łaski, aby tak nędzne pachole zaszczyścić bezpośrednią swoich rąk stycznością, chociaż to nie odbyło się bez pewnej rokosznej boleści i niepowstrzymanego beku. „Biedny Bazylek“ mówili ludzie, przecież należałoby lepszy mieć wzgląd na sierotę, jeśli już koniecznie sierotą być musi... ale czerwono-włosey Bazylek śmiał się z ich litości obłudnej, i rzekł do siebie po cichu: Przecież jegomość pozwala mi rondle lizać i przepaliny z pieczeni odkrobywać, pozwala mi w piecu leżyć w ciepłym popiele, więc cóż w porównaniu z temi dobrodziejstwami znaczą szturkaniec tak znakomity?...

I cieszył się szczęśliwy Bazylek obcierając brudnym rękawem zapłakane oczy, lub ciągnąc w przeciwnym kierunku ucho, które w rękę czcigodnego jegomości nieco ze swojej posady zboczyło, a kładąc trzecią kłodę do pieca, odmówił po cichu: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem!“

W przyjętej raz zasadzie bezwzględnej swojej usłużności, cierpliwości a przy tem prostoty patryarchalnej, wytrwał Bazylek pomimo narzekani ze wszystkich stron: biedny, biedny Bazylek!...

I dobrze mu było z tem.

Kazał jegomość jakiemu dziadowi dać dwa kańczuki, Bazylek z zasady swojej dał ich cztery, a na piąty się zamachnął; kazał brat jegomości, a domowy ekonom, wziąć od baby dwa kluby przedziwa, Bazylek wziął cztery, i jeszcze dał szturkańca; kazał organista w czasie wielkanocnym za święcenie od każdych niecek wybrać po dwa jaja, Bazylek porwał po cztery, i drugie tyle stłukł. „To szubiennik“ wołały baby, „zginie na szubienicy;“ mędrsze jednak kiwały głową, i myślały sobie: dobrego sługę ma jegomość, zasłużył za to lepszej strawy, biedny, biedny Bazylek!“

Najszcześniejszy jednak był Bazylek. Nigdy mu nie przyszło do głowy, aby jego usługi miały być inaczej wy-

nagradzane jak legowiskiem w popiele, i rondlem z przepaliną. A gdy od czasu do czasu i szturkaniec jaki z sędziwych rąk dobrodzieja do tego się przyłączył, Bazylek był uszczęśliwiony, bo organista zawsze go tem pocieszał: „że miał z samym dobrodziejem do czynienia.“ „Lepiej dostać w pysk od pana, niżeli od chłopca pokłon“ mawiał mu najstarszy domowy woźnica, a młody Bazylek tak się przejął tą prawdą, że wtedy tylko czuł się nieszczęśliwym, jeżeli kilka dni niebył zaszczycony choćby najlżejszem dotknięciem się, bodajby i pośrednim, swego dobrodzieja.

Każda zasada jest to miecz obosieczny, możesz nim bić *w prawo*, ale możesz także odwinąć się i na *lewo*. Bazylek zaś sprzyjał wszelkim tak zwanym „bezwzględnościom“, a gdy raz przedsięwziął sobie, gdy mu kto powie: „dwa“, odpowiedzieć „cztery“, to w tem przedsięwzięciu wytrwał do końca.

Kazał organista z spiżarni jegomości ukraść dwa funty sadła, Bazylek odciał cztery; kazała gospodyni Salomea wleźć mu przez „łucht“ do piwnicy i nabrać kwartę śmietany, Bazylek wziął dwie, a drugie tyle zjadł lub wypił; kazał ekonom złapać sąsiedzkiego koguta, Bazylek złapał i kurkę i karczátko, i sprzedał za parę grajcarów zaufanemu Ickowi. O tem jednak ludzie nie wiedzieli, a utyskując na jednostronność zasady, wołali nieustannie: biedny, biedny Bazylek!

Na koniec, zaszła w życiu Bazylka ważna epoka. Był on sowiecie wynagrodzony za swoją potulność i służbiłość. Sprawiono mu nową płótniankę, dano mu biczą dwusząniowy, kapelusz słoniany, i uczyniono go przełożonym nad całym stadem gęsi!

Gdyby Bazylek był marzył o godności człowieczej, gdyby w czerwonej swojej głowie rozbierał by aksjomata społeczne za stanowiska filozofii i historii, czyli ze stanowiska prawdy bezwzględnej i prawdy dziejowej, inaczej, prawdy w fakta wcielonej, byłby nie zawodnie po całe życie swoje został malkontentem a jako taki, nigdyby do niczego nie doprowadził. Ale Bazylek miał, co to nazywają, dobry instynkt, to jest był racjonalista.

Leżąc w popiele, w czarnym kominie widział Bazylek przez otwór komina mały kęs nieba, a że widok nieba dziwacznie na ludzi wpływa, i ich głowy aż do szaleństwa rozgrzewa, toć i ten mały kęs nieba sprawił w ognistej z natury palce małego Bazylka niepospolite zamieszanie. „O jak to lubo musi być na bożym świecie, zagadnął do siebie jednego razu, gdy mu się mokre drzewo niechciało zapalić, żeby to człowiek zawsze miał to niebo nad sobą!“

Tak skromne życzenie wysłuchał jego geniusz i odleciał z tą prośbą chłopczyny przed tron odwiecznego.

Miesiąc później miał Bazylek niewypowiedzianie wiele nieba nad sobą, jak tylko na to zezwolić mogły płaszczyzny Złoczowskiego. Był on nieograniczonym panem całego stada gęsi, trząskając batogiem dwusząniowym, aż się

serce radovalo, a głupi ludzie widząc go pastuchem, trącali się lokciami mówiąc: biedny, biedny Bazylek, musi gęsi paść!

Otóż dowód jeden więcej, przeciw doktrynom dzisiejszym, że „vox populi“ nie jest zawsze prawdziwym, bo najszcześniejszym w gromadzie istotą był Bazylek. Mimo nowego stanowiska, nie zmienił się był jego „stosunek bezpośredni“ z arcyceigodnym dobrodziejem, bo były sprawy, które często ten stosunek przypominały.

Ale szczęście człowieka jest to trawa — mówi syn psalmisty, dzisiaj się zielenieje, a jutro, ścięte kosą, staje się sianem! Otóż ta sama kosa, która dobrodzieja z nóg powaliła, tak, że go nawet aż wynieść z plebanii musiano, podcięła szczęście Bazylka, bodaj nie na zawsze! Złośliwa parka zgrzytnęła i przecięła jego batog dwusaźniowy, który upadł bezwładnie, jak upadają z dojrzałej kukurudzy uschnięte warkocze. Gęsi posmutniały i opuściły skrzydła, bo pan ich nie żył i ich już jeść nie będzie! Gdyby przynajmniej wróciły się te czasy, gdzie to gęsi ratowały ojczyznę zagrożoną, toby przecież można zginąć śmiercią bohaterską lub się wślawić niemniej zaszczytnie, jak się wślawiały dotąd, dając jegomości w czasie odpustów wyberne pieczenie!... ale to były marzenia bez celu, nadzieje bez widoku, i wielkie nadzieje!

Najnieszczęśliwszym z pomiędzy wszystkich gęsi był ich geniusz strażniczy, pasterz czerwono-włosy. Nareszcie i gęsi go odeszły. Jak rozbitek na gruzach swojej ojczyzny siedział on dzisiaj sam jeden na stawisku, a porozrzucone białe pióra okazywały tylko, że niegdyś tu się pasaly białe gęsi; tutaj swym gęgiem jego ucho pieściły... a dzisiaj... pożał się boże, tylko wspomnienie zostało po nich!... Wszystkie co do jednej wylapała gospodyni Salomea, część zjedzono na stypie nieboszczyka, a część drugą przyswoiła sobie Salomea, krzykliwa gospodyni Salomea!

Zginęły pod nożem Salomei gęsi białe i siodlate, zginęły pod nożem okrutnej, brzydkiej Salomei! Śnieżna ich szyja zboczyła się krwią purpurową, krew bijącego serca zboczyła śnieżne pierze długich ich szyj!... Po smutnem stawisku wleczą się rozpuszczone słońca warkocze, wiatr je smutnie podmucha, jak niegdyś podmuchiwał śnieżne pierze gęsi ukochanych, a złote słońca warkocze wleczą się po smutnem, opuszczenem stawisku! Białe, siodlate gęsi, nie ma was, nie ma, jak nie ma snów mojej młodości, które przepadły jak wy, białe, siodlate gęsi!...

Chór I. Ze wzgórza wyroczni, z ust Salomei,
Padł na was, gęsi, wyrok okrutny!...

Chór II. Okrutny wyrok padł na was o gęsi,
Z ust Salomei, ze wzgórza wyroczni!

Razem: Wyrok na gęsi padł z ust Salomei!...

Takie to myśli i uczucia, chociaż niekoniecznie w formie klasycznej, przeciągały przez głowę i serce biednego

Bazylka. Możemyż mu mieć za złe, że za swoim marzeniem czuł żal nieuleczony?... Wieleż to gęsi niejednen z nas wypaść ogniem swojej fantazyi, a gdy która zablakana w komórce mózgowej zagęgała, ileż to nadziei, ileż snów poetycznych nie przemknęło wówczas przez nasze serce? Niejednemu ten gęg wydał się jak przesadny akord arfy Orfeusza, a to tymczasem był głos gęsi!...

Pozostał więc sam tylko Bazylek, jak artysta, któremu nagle wśród natchnienia popękały stróny instrumentu, jak malarz, któremu zabrakło farb i płótna, jak adwokat, którego klient nagle się zagodził, jak lekarz, którego pacjent nadspodziewanie prędko wyzdrowiał. A czem był adwokat bez sporu, lekarz bez chorych a muzyk bez instrumentu, tem był biedny Bazylek w chwili gdy usłyszał dzwony płaczące za dobrodziejem, a gęsi, idące na rożen dla uświetnienia stypy!

I dziwna było, ludzie mówili wtedy: „Szczęśliwy Bazylek, może co będzie z niego, bo przecież nie będzie paść gęsi.“ A słusznie też mówili, bo Bazylek posiadał wszystkie te własności i przymioty, jakich potrzeba, aby się czegoś na świecie dochrapać, i aby być czemiś; to jest, miał notę ślepego posłuszeństwa, niewolniczego przywiązania, nie mógł żyć nie mając szturkającego go pana, a nade wszystko obok tak rzadkich darów pokory chrześcijańskiej, miał zbyt powszedni przymiot idiotyzmu umysłowego, który czynił go każdemu wyborną machiną do wypełniania danych rozkazów.

Był on jak stworzony na wielkiego człowieka w społeczeństwie — w społeczeństwie mówię, bo można także być urojoną wielkością w idei przez jakieś tak zwane wyższe zasługi, talenta i tym podobne potencje domyslnie; ale Bazylek zakrawał na takiego wielkiego człowieka, przed którym to na ulicy podnoszą się czapki i kapelusze a który natomiast ma ten przywilej, że swojej czapki nigdy nie zdejmie, wyjąwszy gdy stanowiskiem wyższego od siebie nadybie, a wtenczas tej jednej osobie odda naraz wszystkie zatrzymane dotąd remanenta. O takim to człowieku mówię, a chociaż nim miał kiedyś pozostać Bazyl czerwono-włosy, nie miał jednakże dzisiaj pretensyi potemu, ani żadnych wielkich nie karmił nadziei. Otóż to jest arkanum wielkich ludzi. Bazylek nie miał, mówię, żadnych wielkich nadziei!

W arabskich powieściach stoi, że szczęście, jest to ziarno złote, spadające z nieba pomiędzy ludzi na ziemię. Kto to ziarno w łot pochwyti, zostanie szczęśliwym. A że takie kuglarstwo za nader trudne jest dla rąk śmiertelnych, więc się nie patrzy człek na to ziarno spadające, i cierpi, bo jużcić ksiądz cierpieć każe. Gdy więc człowiek, posłuszny przekleństwu w raju wyrzeczonemu, w pocie czoła koło ziemi się uczciwie krząta, zgraja idiotów łązi z pyłkiem otwartym i zagapiona patrzy na chmury. Otóż najczęściej się zdarza, że takie ziarno szczęścia padnie w ro-

z dziawioną gębę głupca, a ludzie krzykną naraz: wielmożny panie! — Powyższą myśl czysto-wschodnią przerobiła słowiańska fantazya w braku złota w postać narodowego bogactwa, i wyrzekła o szczęśliwym, że mu:

Pieczone gołąbki,
padają do gąbki.

Otóż taki gołąbek padł do gęby zgłodniałemu Bazylkowi, pomimo że nie był tak wielkim głupcem.

(C. d. n.)

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

(Dokończenie).

Ale gdzie śpiewak? — do starca pogonił.
Co dzisiaj twarzy i ocz jego stronił,
I przy kassydzie był drżący i biały,
Jak kwiat gdy pierś mu roztoczą owady!
„Dzięki Allahu! na czasie obrona!
Już, już żelazo było blisko łona,
Gdyby nie śpiewak, może by w tej chwili,
Ojca hassalów mściciela zabili,
A teraz pierzchli i tylko z oddali,
Za hassalami pociski rzucali.

Lecz czemuż nagle powstał krzyk w drużynie?

„Ratuj Allahu! ratuj! ojciec ginie!
Hassana strzała uciekła z cięciwy,
Padł Arab stary, ha, lecz jeszcze żywy!

— „Bracie, ratunek niesiesz mi na próżno.
Wnet oddam duszę Allahowi dłużna,
I drżącą stopę tam przez most powlekę,
Most Alsyratu, przez ognistą rzekę,
Ha! jeśli spadnę pod ciężarem winy?.....
Allah! za rychłość liczył me godziny!

„Czuję jak zbrodni moich straszna żmija,
Zimnym pierścieniem piersi me obwija,
I serce żądłem tnie na dwie połowy.
Tam, tam w męczarnich żywot pogrobowy!
A tu; — patrz! moje pokolenie młode,
Już ja ich życia drogą nie powiodę,
Z piersi ich w niebo rwie się jęk tułaczy,
Starce! ja skonać niemogę z rozpacz!

„Ty znasz mię bracie! spojrzuj w moje oczy,
Nim je ciemnica grobowa omroczy,
Nim czerw mogliwy!... ha! Allahu w niebie!
Miejsca cichego nieznajdę dla siebie.
Lecz ty mię zepchniesz tam.. w piekło, głęboko...
Gdzie w ogniu światła nieobaczy oko,
I pierś brzemienna zgrozą i cierpieniem,
Nie zdoła sobie ulżyć i westchnieniem.

„Niebadaj miana! ale patrz, sieroty
Bez ojca pójdą drogami sromoty,
I tę krzewinę młodą burza złamie,
Jeśli jej twoje niepodprze ramię.
Starce! miej litość, bo ty znasz cierpienie!
Przyjmij w opiekę moje pokolenie,

Bądź dla nich ojcem! Ty niemiałeś dzieci.
Inna ci gwiazda twój żywot oświeci,
I serce mocniej zapuka do ziemi.
Gdy będziesz z nimi, jakby ze swojemi!

„Przyrzeknij bracie, niech uspokojony
Uleczę duszą w zaświatowe strony..
Starce! jam grzesznik wielki, jam zabójca,
Aliści młedzież miała we mnie ojca!
Oni nie winni — zbrodni mych nie znają,
O niechaj w tobie odtąd ojca mają.
Litości starce w twojem słowie czekam !...”

Śpiewak dłoń ścisnął, i rzekł mu „przyrzekam!”

„Dzięki! zgasiłeś w sercu jedno piekło...
Czuję, daleko odemnie uciekło.
Lecz jeszcze drugie o! stokroć gorętsze
Pali ogniami mojej duszy wnętrze.
Słuchaj mię bracie! przed skonaniem muszę
Odkryć twym oczom moją czarną duszę,
Cóż? gdy się cała zasłona odchyli,
A ty odepchniesz mię w skonania chwili,
Zdepcesz jak węża, i rzucisz w rozpacz,
Bracie! czy serce twoje mi przebaczy?

„Słuchaj! ja zyciu chcę powrócić ciebie,
Serce twe wskrzesić po ucznó pogrzebie,
Z grobu pamiętek by znowu powstało,
I poradzonym swoją miłość dał...
Ty drżysz? zgadujesz!.. miej litość nademną!
O! w mojej duszy tak straszno! tak ciemno,
Choć tysiąc iskier pożerają razem!
Lecz jeszcze jedno cięży na niej głazem,
I niepozwała ulecieć do nieba!
Mnie przebaczenia ziemskiego potrzeba!

„Oto konając u nóg twoich leżę...
O ja w Allaha przebaczenie wierzę!
Lecz jeszcze twoje na ziemi mię trzyma,
Ha! czy ty we mnie poznajesz Selima?...”

Tu nagle chwila nast ła milczenia,
Że słycać było serc niepewne drżenia,
Jak za każdym poruszeniem duszy,
O pierś pukały w bezmownej katuszy.

„Czy mi przebaczasz?” I jak wąż się wiję,
Sine oblicze w fali piasku kryje,
A śpiewak rękę ścisnął mu serdecznie:
„Niechaj ci Allah tam przebaczy wiecznie!
Z wesołą myślą uchodź z tego świata.
„Tem uciśnieniem żegnam w tobie brata!”

— „Ha! to mi strzałę wyciągnijcie z łona,
Już moja dusza z więzów uwolniona,
Dłoń naszą!.. Allah..” i słów mu niestało,
Lecz jego oko takim blaskiem tłało,
Jak zachodzące słońce śród pokoju,
Po dniu upałów i dzikiego boju!

Pośród oazy, zielona mogiła!
A palma nad nią skronie pochyliła,

I płacze kwiatem jak huris kochanka,
Lecz na grób upleść niema komu wianka,
Bo spiewak w pochód drużynę groza dzi...
Wraca do braci! Allah go prowadził!

Mieczysław R...

Teatr krakowski,

O widowiskach u nas, możnaby nie jedno popisać, nie jeden zarzut postawić naprzeciw głównemu zrządowi widowiskami w ogóle, i wykazać jak mało uwzględniane są potrzeby niastowej ludności, potrzeby sceny naszej, i jak jest tolerowaną, przy ograniczeniu jej do najszczuplej-
szej liczby widowisk, przy pozostawieniu jej dni najmniej-
korzystniejszych na reprezentacye; jakimi są: widowiska
poniedziałkowe i czwartkowe... przy... ach! nie skończyłbym
obżalowania tak prędko, gdybym chciał wszystkie niekorzyści
przeciwstawione scenie naszej wyliczać; pismo moje nieby
nie pomogło, a musiałyby potrafić nie jedną okoliczność
drażliwą, bezowocnie, bez przyniesienia ulgi jedynej skar-
bnicy publicznej żywego słowa, jedynej publicznej (że tak
rzekę) szkole języka i wymowy, udzielającej się massom
najdostępniej, prądem bezpośrednim, skarbnicy, świętej dla
nas, która aby kiedyś nie została zamkniętą, powinno być
naszem najgorętszem usiłowaniem.

Lecz czyliż widzimy z naszej strony owoc starań cho-
by pomiernych? Czy widowiska nasze ograniczoue do tak
mizernej liczby dni w tygodniu, pozbawione wszelkich u-
bocznych dochodów z koncertów, redut, balów, subwencji
i t. p., są uczęszczane przez publiczność, tak, jakby go-
dzido się wymagać po dobrze myślących obywatelach? Przynajmy się z boleścią do winy. Klasy wyższe to-
warzystwa naszego, zawsze gorliwe gdy idzie o czynszla-
chetny lub obowiązkowy, uczyniły swoje, zakupując abo-
namentem łóż kilkanaście, za to warstwa pośrednia, stan
mieszkański, mianowicie klasa kupców najzamożniejsza,
ekazuje dla sceny obojętność turecką. —

Kupiecki stan nasz, z wyjątkiem kilku domów, w obrę-
bie swej miarki i łokcia tak zmartwił na wyższe szla-
chetne powaby rozrywki scenicznej, tak zdaje się być nieu-
dolny do pojęcia obowiązków i powinności moralnych dla
utrzymania sceny, że tylko z martwoży swej ocuca się od
czasu do czasu, przez małpiarstwo klas wyższych, przez
przedrzeźnianie chwilowej mody, a to jedynie wtedy gdy
raz do roku wychyli się z poza kantoru i kassy, by usły-
szyć z miną zagapioną deklamującego im niezrozumiale a-
frykańczyka, delektować się hecami w cyrku, lub dobro-
dusznie połykać ślinkę za wykręcającą się na pięcie za-
morską tanecznica. O szczytności zadania teatru, o czaro-
dziejstwie muzyki, ani im wspominać. Dla tego w teatrze,
czy komedia, dramat, tragedia, opera lub koncert, zawsze
pustki a pustki.

Młodzieży tutejszej i w ogóle męskiej społeczności, ró-
wnie uczynimy słuszną wymówkę. Karty, ów wymysł dla

króla waryata, obłąkańca, jest i dziś obłąkańców uciechą,
a gdzie kart nie ma, tam sklepowa gawęda, włóczęgostwo
po handlach, przynosi teatrowi uszczerbek. Oprócz niezli-
czonej ilości handlów, do których uczęszczanie nikomu nie
przynosi zaszczytu, mamy dwie czy trzy resursy, różnie
nazwane, ale jednaki przynoszące resurs. W nich napoty-
kamy codziennie więcej wiernych bohaterów zielonego sto-
lika, niżeli równocześnie widzów w parterze lub krzesłach.
Jak po handlach kielicha i kufła, tak tutaj kart nie wsty-
dzą się imać i starzy i młodzi, młokosi i zgrzybialce.
Zamiast wesoło przepędzić wieczór w przybytku *Talii i*
Melpomeny, nasi zapaśnicy stolikowi, wolą na cześć samej
talii marnować godziny, zgrywając się grubo lub druzich
ogrywając, mniej wesoło, lecz stratniej lub zyskowniej.

Widzowie nie uczęszczający zasłaniają się wymówką,
iż teatr miernymi zdolnościami zaopatrzony, nie ma dla
nich powabu. Ależ panowie! chcecie mieć teatr dobry, chodź-
cie do teatru, wesprzyjcie go tak, aby zasłonić się mógł
od groźących nieochybnych strat, aby sterować mógł
na przeciw błądzącym falom. Jakżeż tam żądać można
dobrych artystów gdzie nie ma czem ich opłacać? Posia-
damy wielce uzdolnionego artystę, któremu podobnego już
od lat dziewięciu nie mieliśmy, mamy Karola Królikowskie-
go, nie dopuścimy aby i on musiał nas porzucić, gdybyś-
my scenie nie podali dżoni braterskiej. Przybywają jeszcze
trzej nowi artyści Nowakowski, Lesser do ról ojców, Ma-
liszewski do ról wyższych komicznych. Zapowiadano w
Czasie i pannę Kasprzycką, starajmyż się aby dyrektor był
w stanie wynagrodzić ich odpowiednio i stałe zatrzymać
między nami.

Odegrano zaledwie siedm widowisk, a już scena zostaje
zaniedbaną przez widzów. Łoże jeszcze jako tako zajęte,
ale krzesła i parter jakże wyludnione, choć nie możemy
żalić się iżby nas traktowano starzyznami. W siedmiu wi-
dowiskach przedstawiono siedm sztuk zupełnie nowych
mianowicie: Staroświeczyzna (*Kamińskiego*), 2) Stara Ele-
gantka (*Korzeniowskiego*), 3) Podstęp p. kapitana (*Rosiera*),
4) Arcydzieło nieznanne (*Lafonta*), 5) Uściskajmy się (*La-
bicha*), 6) Deborah (*Mosenthala*), 7) Bajazo, i nadto ode-
grano oryginalne 8) Zawieprzycy, 9) Okrężne 10) Dwaj
Mężowie 11) Stacya pocztowa 12) Chłopi arystokraci.

W kilku więc reprezentacyach napotyamy siedm dzieł
oryginalnych a siedm nowych. Wiadomo nam, że do re-
pertoaru przybędzie jeszcze kilkanaście sztuk nowych, ob-
szerniejszych rozmiarem jak n. p. Herman (*Dumasa*) w 5.
a. Liesli dr. w 3. a. (*Gutzkova*), Magnetyczne leczenia k.
w 5 a. (*Hackländera*) Zięć pana Poirieu w 4 a. (*Sandeuu*)
Pół dnia w Wersalu w 3. a. (*Duval*), kupiec k. w 5. a.
(*Benedixa*) Esmeralda czyli Quasimodo, dramat, jeszcze ja-
kaś sztuka Dumasa syna, Augiego i t. p.

Podobno i oryginalne pominięte nie będą, mianowicie
komedia Korzeriowskiego, Skarbka (Roztrzepany, Zosia

przybylanka) Kraszewskiego (Szatan i kobieta), a i od p. A. Gorceyńskiego spodziewana jest łaskawa pomoc i zasiłek nowemi dziełami, których tak wiele nakreśliwszy trzyma je dotąd w ukryciu rękopismowem. Nie mówię już o sztukach mało u nas znanych, jak n. p. Żebraczka, Mąż jedzie na wieś i t. d. które powtórzone będą.

Artyści czynią swoje jak mogą i o ile mogą. Umieją role i dokładają starań choć za zwyczaj nie wszystkiemu zdolni są wydolać. Będzie-li teatr ochotniej odwiedzany, będzie publika nasza dopełniać sumiennie powinności i obowiązku swojego, to znajdą się i lepsi artyści, to znajdą się i wystawa sztuki odpowiednia, pomimo przeciwności jakie sprowadza rywalizacya, pomimo zawał stojących ku ruinie sceny krakowskiej.

Strzeżmy się, aby kiedyś nie żałowano straty i tego, co dziś mamy; aby nam nie wynawiano że sobkowstwem a niedbałością nie umieliśmy utrzymać resztek tego, co się nam z prawa należy, co ocalało z rozbicia. Pamiętajmy na to, co sobie publika Poznańska zgótowała i jak żałuje teraz leniństwa i skąpstwa swoich ojców, nie strzegących praw swoich, bo postradała jedyną rozrywkę jaką sprawia słuchanie wygłaszanego publicznie ojczystego słowa, przedstawianie ojczystej przeszłości i obyczaju w żywym słowie i w poejzystej szacie.

Szkoda, że *Czas* jako organ miejscowy, nie poświęca od czasu do czasu (tak jak to czynią wszystkie zagraniczne polityczne pisma) miejsca obszerniejszym artykułom feuletonowym, któreby przemówiły do przekonania o konieczności uczęszczania na teatr, a surowo karcily niedbalstwo tych, coby mogli przyjsć scenie z pomocą. Szkoda że zamiast kilkuwierszowych, pobieżnych, nieznaczających wzmianek przy końcu kroniki, nie stara się gruntowną, myślącą, feuletonową pracą rozbudzić interesu ogółu i wskrzesić uspięnego zamilowania.

Głos organu tak poważnego, nie podległego, miejscowego, dochodzącego codziennie do wszystkich warstw i rodzin miasta, potrafiłby zdziałać niezmiernie wiele dla dobra tej jedynej naszej instytucji i to tylko pismo wyłącznie umiało by trafićmi słowy dopięć celu, przemówić do sumienia i przekonania skąpej, egoistycznej i leniwej publiki. Proźba ta nasza i słowa nasze, wiem że ani tu, ani tam, słuchane nie będą, przynajmniej lżej nam, żeśmy się wypowiedali ze wszystkiego, co nam leżało na sercu.

Przejrzymy teraz jak wykonywano dzieła przedstawione w tym krótkim czasie od początku Listopada po dzień 16. t. m. bo o Staroświeczyźnie i otwarciu teatru już wam pisano.

(D. c. n.)

Oprzedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Przedrukować więc Słownik Lindego sam, zle, bo już za późno — przedrukować go i dodać tom dodatkowy, będzie bez celu, bo i

ten tom dodatkowy naprzód całości nie wypełni, kiedy owszem systematycznie robiąc (takie jest sumienne przekonanie nasze) dodatki powinnyby być większe jak cały Linde, a powtórebędzie tylko przypięty niby kwiatek do kożucha. Podług nas dalekoby praktyczniejszą przysługę zrobili panownikom lwowscey, gdyby zebrali w jedno rozprawy wszystkie jakieśmy tutaj cytowali o języku, rozprawy i dzieła Borkowskiego, Wiktora Kozłowskiego, Łabęckiego, słownictwo już wykończzone do nauk przyrodzonych i te dzieła i rozprawy porozprasane, porozrzucane, zebrali razem jako materyał do przyszłego słownika. A grunt pewny może już stanowić do tej przyszłej budowy języka nasz warszawski słownik górniczy, który sam w sobie jest niezawodnie dziełem systematycznym i całym, ile że pracował nad nim człowiek znający rzecz swoją, z miłością oddany przedmiotowi, badacz który pracował i dla własnej nauki i dla korzyści swoich spółziomków. Wydawszy te materyały jakie już mamy pod ręką, pomyśleć by można i potrzeba o ułożeniu osobnych słowników prowincjonalizmów.

Ale nie te jedynie dopełnienia o których tutaj pokrótce wspomnieliśmy, drukowaćby się dały i potrzeba było. W naszej prawie chwili rzuciło się kilku miłujących swój język ludzi do zbierania przysłówiów. A zbierają je nie z książek jak Linde, bo by tam mało ich znaleźli, ale z nierównie ważniejszego źródła, to jest z rękopismów i z mowy potocznej. Tak, mowa, mowa potoczna jest dotąd nietkniętem, niebadanem wcale, a bardzo bogatym źródłem bogactw językowych. Są w niej całe wyrażenia, całe zwroty, już nie powiemy wyrazy, nie ujęte dotąd w słownik, bo się kryją po różnych stronach kraju, z ust przechodzą do ust. Na Kujawach slyszeliśmy wyraz *porzadnąć* w znaczeniu *za nic kogos nie mieć*; mówią n. p. tam: *porzadliście mnie*, to się znaczy: *takież mnie obsiedli*, tak zawojowali, że już mnie za nic nie marie. Nie liczym tego wyrazu do prowincjonalizmów, bo nie wiemy gdzie i jak używany, jak szeroko ojczyzna jego się rozciąga.

Ala mniejsza o wyraz, kiedy są całe przysłowia i zwroty. Szanowny Wojcicki dał pierwszy w naszych czasach przykład poszanowania dla tych bogactw języka, których nie jedno sięga czasów przedchrześcijańskich Polski; Wojcicki objaśniał znaczenie i historję głosięniejszych t. j. więcej znanych przysłów, potem upowszechniał drukiem starożytnie przypowieści Polaków, odnawiał nam pamięć Rysińskiego i t. d. Za jego wzorem rozwinięło się u nas szeroko zbieranie i objaśnianie przysłówiów; drugi Wojcicki (Aleksy,) mój ojciec, Tymoteusz Lipiński, Jachowicz i t. d. położyli zasługi na tem polu. Zbieranie to przysłówiów zmieniło się nawet całkiem w słownictwo, przynajmniej Jachowicz tego nie zaprzecza, że zbiór jego wygląda więcej na materyały do słownika polskiego.

Ten sam charakter mają po większej części i Zbiory Lipińskiego, o ile je znamy drukowane po różnych pismach periodycznych (w Bibliotece Warszawskiej, w kalendarzach) Znamy zbiór Lipińskiego wyrażen i przysłówiów wziętych od miast, od gór, od pór roku, od imion. Język polski wiele zyska na tych badaniach. Skąpany w tych wyrażeniach język, odzyska więcej zygmuntowskiej siły, niżby mu dały wszystkie nowości wprowadzone przez Deszkiewicza. Dzisiejszy rozwój naszej mowy, przez znakomitych pisarzy w pełni ukazany, kiedy się złączy z całą czystością i prostotą mowy ojców, utworzy nam język staro i nowo polski. Dzisiaj za mało mamy dla osiągnięcia tego skutku oczytania się w pomnikach! Dzisiaj mamy swoją złotą epokę, i wtenczas była złota epoka, — co się z tych dwojga złot utworzy?

Nie zbieraliśmy przysłów z ust ludu, ale nieraz nam się zdarzyło spotkać w rękopismach i w książkach z przeszłości świeżo wydanych a będących dotąd przez wieki rękopismami, wyrażenia które wyglądały bardzo na przysłowia, a które przynajmniej były szcze-gólnemi zwrotami mowy polskiej. Żałujem serdecznie żeśmy te wy-

rażenia i zwroty, czem innem zajęci, bez uwagi pomijali, ale odtąd pilniej zważyć będziemy na to co nam się czytać zdarzy, pilniej pod względem filologicznym, bo o niedbałość w studiowaniu faktów dziejowych obwiniać nas nie można. Ale oto kilka wyrażen, które naprędce nam się nawijają, wypisanych ze starych rękopismów. Dajemy je tutaj dla przykładu.

Zygmunt August w liście do Radziwiłła z d. 24. stycznia 1553, pisze wyraźnie przysłowiem: *nie o rzemień ale o całą skórę idźcie* (wydanie listów Lachowicza.) Biskup kiow. Załuski użył wyrażenia: *świnia krzyczy a wór drze*. Czytaliśmy wyrażenia: *taka zła albo chuda jak sucha Jewa*: dalej: *w kominie ośóy olóž d. szcz.* Jest przysłowie znane już w XVII. wieku: *cułae proso oganiać*. Mówiono w Polsce i dzisiaj jeszcze mówią w Sandomierskiem: *ot! prychna* (o strojnis kobiecie lekkomyślnej), *ma on swoją prychnę* (to jest kochankę, pogardliwie.) O mądrym mówiono *jakby się w Częstochowie uczył*. O Wadowicach jest przypowieść: *dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowice*. O Łucku zachował nam inną ruską już przypowieść Kraśzewski: *W tom Łucku nse nie po ludzku, na okół woda, a w sere-dyni bida!* (Wspomnienia Wołynia t. 2 str. 7). Rulikowski imie przysłowie pisze: *sohrany Boże mir od Makijewskich hir* (w Opisie pow. Wasilkowskiego st. 142). Tych przypowieści niema Lipiński. Szlachcic pewnie pisze 7 czerwca 1648 w liście: *«Z Warszawy dobrej wiadomości nie masz, wszystko kawy dla zabawy* (Pamiętniki i zuannyje wremiennoju komisijeju dla razbora drewnich aktów i t. d. t. 1 oddział 3ci str. 68) i t. d. i t. d. Nie utrzymujemy żeby te zdania i przypowieści któreśmy tu wypisali, były tak bardzo rzadkie i nieznanie naszym zbieraczom, z tem wszystkim zwracamy na to uwagę ogólną, że ziarn takich językowych sporo jeszcze leży niewyszukanych gdzieś na spodzie niwy naszej.

Zarzucało niektórym zbierającym przysłowia u nas, że zbierają nie przysłowia ale przypowieści i wyrażenia. Jużci zarzut to byłby słuszny, gdyby tylko przysłowia miały wartość; nie słuszny jest gdy i nie przysłowia mają swoje znaczenie. Jachowicz powiada, że ma sto tysięcy przeszło wyrażen przysłowiowych i przypowieści, — jużci żaden język i nie ma i nie może mieć tylu przysłowiów. Kapitał pana Jachowicza z dnia na dzień mnoży się niesłychanie, bo mu wiele osób pomaga i zewsząd, z różnych stron kraju, ten i ów przysyła mu swój hărăcz, z którego język skorzysta kiedyś.

Praktyczniej więc by daleko było jak słownik Lindego wydrukować swoim nakładem nasze warszawskie zbiory przysłowiów i przypowieści. Wszakże w Lindem także ich nie ma.

Przejdźmy do nowego przedmiotu.

Mówiliśmy dotąd o tem czego w Lindem nie ma i o tem cośmy zrobili dla języka już po wyjściu na świat Słownika polskiego. To cośmy jednak zrobili, acz nie jest małą rzeczą ma jest przecież rzeczą słownikową. Robiliśmy więcej bez samowiedzy, bardziej z przypadku jak systematycznie. Kozłowski może i Łabęcki o systematycznym układzie części słownictwa myśleli.

Ale i Linde sam w sobie ma wady, które go szpecą, któreby przy nowem wydaniu usunąć należało. O tem jeszcze słów kilka. Jeżeli przedruk Lindego, bez przerobienia go całkiem będzie rzuceniem kapitału w błoto, przedruk bez poprawek, z wadami które się do niego wcisnęły, będzie umyślnym błędem, szkodą dla literatury. Każde wydanie następne powinno usuwać błędy poprzedniego, przedruk zostawiłby je całkiem. Dla samego przedruku więc potrzebowałoby dzieło Lindego przetrzemia.

Czy Linde niewiernie wypisywał z autorów polskich wyrazy i całe zdania, czy też może potem pomięszają się mu jakim dziwnym sposobem te wypiski które zebrał, dosyć, że w Słowniku jego wiele znajduje się nieformalności i złych, to jest nieprawdziwych cytat. Nieraz było potrzeba sprawdzić w autorze cytowanym przez Lindego to i owo, a szukać po autorze, ani śladu przywiedzonego w Słow-

niku zdania lub wyrażenia. Dobry Słownik powinien wszystko a wszystko objaśnić, być razem i gramatyką i zbiorem archeologicznym to jest wyraz zestarzały objaśnić, a jeżeli wyraz zmienił dzisiaj znaczenie i utrzymał się w mowie potocznej, winien przytoczyć całą jego historję, wszystkie znaczenia przez które przechodził, wszystkie zmiany jakich w składzie swoim doznał. Więc właściwie mówiąc już źle jest, kiedy potrzeba uciekać się od Słownika do oryginalnego autora po bliższe objaśnienia wątpliwej rzeczy. Słownik tem już grzeszy że zmusza do tej roboty, widać że w nim coś opuszczono, coś nie jasno. Ale gorzej jeszcze kiedy się szuka zacytowanego w Słowniku miejsca w autorze, z którego to miejsce wzięte, a znaleźć go nie można. Znadto szanujemy pamięć Lindego, żebyśmy w tych niedokładnościach jego Słownika chęć żartu upatrywali, albo cytacyą umyślnie fałszywą. Zdarza się to historykom stronnym, że na poparcie twierzeń i dowodzeń swoich przywodzą z autora mającego powagę, fakt albo zdanie, którego w tym autorze nie ma, albo że wykręcają jego zdanie, opuszczając wyrazy i zwroty które widzą że im niepotrzebne, tak że z kozła zrobią barana.

Ale Linde cóżby za cel miał w cytacyach fałszywych? Praca jego budziła spółczucie ludzi znakomych w narodzie wtedy jeszcze kiedy dziennego światła nie widzieli; ci ludzie znakomici, ci sami co mu do tej pracy pomagali, czytali autorów i mnożyli jego wypiski; wszyscy oni byli dobrej wiary, jak sam Linde był dobrej wiary. Wszak mu szło o zebranie bogactw języka i cóżby za cel miał gdy by sam zmniejszał swoją zastugę, żeby drugich wkiłzał i w błąd uwodził? Więc tu prędzej winni wszyscy co pracowali nad Słownikiem nie dopatrzaniem się, a może najwięcej winien był sam Linde, bo wszystkie wypiski z autorów na dobrą sprawę, przed samym drukiem słownika, powiuen był raz jeszcze i ostatecznie sprawdzić. Nie sądzim, powiadamy, żeby wypiski słownika których w autorach znaleźć nie można, nie były z tych autorów, ale to pewna, że nie są wcale z cytowanego miejsca. Brak może uwagi skąd się wyraz i zdanie brało przy pierwszym wypisaniu, niedbałość może w dopilnowaniu korekty kiedy się już dzieło drukowało. A kiedy tak jest czemuż nie przypuścić że są i ważniejsze błędy? a może nieraz tam za Kochanowskiego cytowany Miaskowski, za Górnickiego Strykowski i t. d.? My wskazujemy tylko na ślad błędu: kto wie jak on wielki? Obwiniamy jak najmniej, kto wie czy nie mielibyśmy prawa obwiniać Lindego o to opuszczenie więcej? (C. d. n.)

Rozmaitość.

* Znany zaszczytnie malarz Tysiewicz przybył z Paryża, gdzie ostatnimi czasy bawił do Lwowa. Przywiózł ze sobą wiele nowych prac własnych, równe jak i kilka dużych obrazów sławnych malarzów obcych. Zamyśla zabawie jakiś czas we Lwowie, i urządźć wystawę publiczną.

* **Podróżujący Anglicy.** — *1 Anglik.* Dokąd jedziesz Sir? *2 Anglik.* Jadę do Pizy i czekać tam będę aż upadnie pochyła wieża pizańska. A wy Sire dokąd się udacie? *1. Anglik.* Ja udam się do Sebastopola i czekać będę aż warownia konstantynowska upadnie. *2. Anglik.* Ha to wybornie. Może zdybiemy się znowu wracając z naszych wycieczek. *1 Anglik.* Yes.

* **Nowy Don Juan.** — W Berlinie toczy się obecnie sprawa barona Köller, którego śmiało nowym Don Juanem nazwać można. Należał on do wyższych kół towarzyskich a w r. 1848 i 1849 agitował między robotnikami, w duchu antrewolucyjnym. Żył bardzo wystawnie i prowadził dom otwarty, lecz oprócz tego w tysiącach pojawiał się postaciach, gdzie chodziło o to, aby sobie upać młode panienki. Prowadził dziennik swoich awantur miłosnych, z którego

okazuje się, iż w trzech siostrach razem się kochał. Każdej oświadczył się zaraz i obiecywał żenić się, lecz właśnie gdy już miał się ożenić z bogatą i ładną panią, polieya go przyaresztowała. Zabrano wszystkie jego korespondenye i dzienniki miłośne.

Przyjechali od dnia 27. do 28. Listopada do Lwowa.

PP. Obertyński Leopold, ze Stronibab. Starzyński Adam hr., z Krzywezy. Kunaszewski Władysław, ze Złoczowa. Bobrowski Klemens, z Korsowa. Bogdanowicz Robert, z Litatyna. Papara Henryk, z Zubowych mostów. Duniewicz Edward, ze Stryja. Lewicki Józef, z Bonowa. Załuski Józef hr., z Jasienicy.

PP. Barański Karol, z Chłopezyc. Stadnicki Bronisław hr., z Olszanicy. Jaźwiński Wincenty, z Rzeszow. Zamoyski Tdam hr., ze Złoczowa. Cielecki Ludwik, z Łoziny. Gottlieb Feliks, z Dorhomowisk. Gottlieb Antoni, z Przemyśla. Kruszewski Henryk, z Krakowa. Padlewski Apolinary, z Czabarówki. Fredro Edward Ksawer hr., z Balic. Garapich Władysław, ze Stryja. Papara Stanisław, z Dolnicza. Remiński Leopold, ze Stanisławowa. Malezewski Julusz, ze Skwarzawy.

Wyjechali od dnia 27. do 28. listopada ze Lwowa:

PP. Serboni Wilhelm, do Rzeszowa. Leszczyński Jan, do Luczan. Zarembo Bolesław, do Żurawnik. Majewski Jan, do Tarnopola.

PP. Ożarowski Konstanty hr., do Strzemiecha. Nanowski Aleksander, do Koniuszek. Smarzewski Nikodem, do Artascowa. Udrycki Adolf, do Choronowa. Wiktor Ludwik, do Żółkwi.

Kurs telegrafowany z Wiednia 29 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów	124 $\frac{1}{4}$
Augsburg za 100 złr.	127 $\frac{3}{4}$	Paryż za 300 franków	148
Bukareszt	—	Agio dnk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Srebra agio	—
24 $\frac{1}{2}$ stopy	126 $\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% 82 $\frac{1}{16}$ 4 $\frac{1}{2}$ 72 $\frac{1}{2}$	—
Genua	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	93 $\frac{1}{4}$	Akcye banku	1223
Konstantynopol	—	Kolej północna	1780
Liwno	—	Obl. ind.	75
Londyn za 1 funt szterl., 12 17	—	Nowa pożyczka z loteryą	97
Marsylia	—	Pożyczka narodowa	87 $\frac{1}{2}$

Dzisiejszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr. 5 kr. 47	złr. 5 kr. 52
Dukat cesarski	„ 5 „ 54	„ 5 „ 58
Półimperyal zł. rosyjski	„ 10 „ —	„ 10 „ 6
Rubel srebrny rosyjski	„ 1 „ 57	„ 1 „ 58
Talar pruski	„ 1 „ 51	„ 1 „ 54
Polski kurant i piecioletówka	„ 1 „ 25	„ 1 „ 26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„ 86 „ 18	„ 86 „ 35
Obligacye, indemnizacyjne 74. 13. do 74 złr. 27 kr.		

(176) **Nowe dzieło historyczne!** (1—6)

Nakładem Karola Wilda we Lwowie wyszło i jest do nabycia po wszystkich księgarniach:

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374—1413

Opowiadanie historyczne

przez

Karola Szajnochę.

Tom Iszy 384 str. w 8ce wielkiej Złr. 5 m. k. Całe dzieło składać się będzie z 3ch tomów. Tom IIgi już jest pod prasą. Oba dalsze tomy zawierające przeszło 50 arkuszy druku wyjdą przed końcem roku 1855 i kosztować będą razem złr. 7 m. k.

Są także do nabycia tegoż autora

SZKICE HISTORYCZNE

Lwów 1854. I tom z ryciną 2 złr. 30 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

(181)

NAKŁADEM

(1—3)

Juliusza Wildta

w Krakowie

wyśzedł i po wszystkich krajowych i zagranicznych księgarniach dostać można:

KALENDARZ

POWSZECHNY

ozdobiony drzeworytami

na rok

1855.

cena egzemplarza 45 kr.

Również wyszedł ulubiony

MAŁY KALENDARZ KIESZONKOWY

cena 12 kr.

Uwiedamiam przytem Wydawca, iż posiada jeszcze zapas Kalendarza Powszechnego z roku 1853 i 1854 który sprzedaje się po 25 krajearów. (1—3)

(157) **Uwiedomienie o nauce tańcu.** (2—3)

Podpisany ma zaszczyt uwiedomić niniejszem, iż udziela grun-
townej

nauki wszystkich tańców towarzyskich

według nowej metody pospiesznej;

równie uczy nowych

Pepita Kadryłów,

które ostatniego karnawału w Paryżu i Wiedniu powszechnie były ulubione.

Podpisany zobowiązuje się nauczyć każdego pojedynczego tańca towarzyskiego

w przeciągu 6. godzin

z zadowoleniem szanownych P. T. uczęszczających.

Nowa ta metoda uczenia tańcu, wynalazku pana Raab'a, baletmistrza w Wiedniu, zasługuje na polecenie także dla dzieci, będąc prościej jak dawniejsza, przyczem się szczególnie uważa na postawę i obroty ciała.

Zyczący sobie w osobnych lub też w zebranych towarzyskich godzinach korzystać z tej nauki, raczą się zgłosić do podpisanego.

Karol Kanneł,

aktor i nauczyciel tańców;

mieszka przy targowicy drzewa, Nr. 620 $\frac{1}{2}$ na dole, po lewej.

KUCHNIA ANGIELSKA z lanego żelaza z dwoma rurami i kociołkiem na wodę, bardzo mało używana jest tanio do nabycia. Bliższą wiadomość udzieli handel Frydryka Schubutha synów, Ulica krakowska Nro 150. (170 2—3)

Z drukarni E. Winiarza.